

HISTORIA



„... czwarty szturm trwał najdłużej i był najcięższy ze wszystkich, które przyszło nam odpierać. Zdawało się, że spod lasu, z bagnisk i łąki wezbrała nagle potężna fala, która runęła na mury twierdzy. Nie miałem zbyt wiele czasu, aby się rozglądać, dostrzegłem jednak, jak w pewnym momencie chłopci wdarli się na mur koło północnej baszty. Tłum z rykiem triumfu rzucił się na tamtą stronę, szczęściem Vaden Ker w ostatniej chwili dostał obrońcom baszty kilkunastu rycerzy z Va Nenthem na czele, którzy zdążyli zepchnąć chłopów z murów zanim wdarło się ich tam zbyt wielu. Od strony północno-zachodniej, gdzie ustawił mnie Vaden Ker podobnie jak poprzedniego dnia chłopci nie szturmowali zbyt zaciekle. Skały i rzeka w wielkim stopniu same broniły murów. Pomimo tego mieliśmy pełne ręce roboty, choć ani przez chwilę nie doszło u nas do tak groźnej sytuacji jak przy baszcie. Chłopci bez przerwy darli się na mury. Pot zalewał oczy, ręce zaczynały mdleć, ogień palił płuca. Pod koniec szturmów coraz trudniej było unieść miecz do ciosu. Nie było czasu myśleć o niczym. Zapamiętawszy się, rzucałem się na wyłaniających się co i raz z muru wrogów, aż wreszcie pchnąwszy drabinę i ściąwszy mieczem potężnego zbira, który zdążył się po niej wspiąć, nie dostrzegłem na murze żadnego buntownika. Rozejrzałem się; fala ludzka cofała się powoli pozostawiając pod murami zwały trupów. Trupy te były naszym utrapieniem, gdyż leżąc w słońcu zatrzymywały powietrze i groziły twierdzy zarażą.

Zdjąłem hełm i usiadłem, opierając się o blankę. Zmęczenie rozlało się po mięśniach. Siedziałem bezwładny, z przykniętymi oczami i mimo, iż byłem zadowolony z siebie, nie miałem siły się uśmiechać. Starłem się to za wszelką cenę ukryć, ale walka wyczerpywała mnie znacznie bardziej niż innych. Bałem się, żeby to zmęczenie nie okazało się silniejszą ode mnie.

Usłyszałem kroki i podniosłem głowę. Koło mnie stał Va Kinth z kamienną twarzą patrząc na las.

– No, dostali solidnie – powiedziałem, zdobywając się na uśmiech. – Dziś już tu chyba nie wrócą?

– Wrócą, Kiff. Słońce jest jeszcze wysoko.

Był wyraźnie zatroskany.

– Jeśli wrócą, to znowu dostaną. W końcu ich też jest ograniczona ilość.

Va Kinth w zamyśleniu pokręcił głową. Na całej długości murów, którą mogłem objąć wzrokiem, zaroilo się od kobiet noszących wodę i opatrujących rany. Chłopcy, rycerscy synowie, za młodzi jeszcze, by otrzymać pasy, korzystali z chwili przerwy, by donieść nam strzał i pocisków do kusz, sprawdzić cięciwy lub podać nowy topór, jeśli ostrze starego stępiło się lub wyszczerbiło w walce.

– Nie jest wcale tak dobrze, jak myślisz, Kiff. Martwię się. Jeździłem po całym kraju, od Viremez do Meldoru i znam okolice każdej twierdzy. W tłumie atakującym północną basztę wyraźnie poznałem górali z Białych Gór. Są nieco roślejsi, mają wystające do przodu szczęki i jasne włosy. A Va Moner, gdy rozmawiałem z nim przed chwilą, mówił mi, że sam usiekił dwóch Goldinarczyków. Trup jednego z nich leżał jeszcze na murze.

– To co?

– Nie rozumiesz? Jeśli przybyli oni pod Gahiramez, to znaczy, że twierdze panujące nad ich ziemiami już padły. I że nie powinniśmy spodziewać się pomocy.

Oparł dłoń o krawędź muru, szarpiąc drugą ręką brodę.

– A z wieży doniesiono, że pod lasem pojawili się Niscy Ludzie z żelaznymi pajakami. Chłopów możemy się nie bać jeszcze przez kilka tygodni. Są pełni nienawiści, ale nie potrafią zdobywać twierdz. Inaczej niż głodem nas nie wezmą. Ale Niscy Ludzie...

– Czyżbyś się ich bał?

Kinth zgromił mnie wzrokiem.

– Nigdy nikogo się nie bałem. Liczę nasze szanse. Przybycie żelaznych pajaków znacznie je zmniejsza.

Jedna z kobiet podeszła do nas z wodą. Z ulgą przeplukałem spieczoną gardło. Była to, zdaje się, Leara, poślubiona przez

Va Rena zaledwie na parę tygodni przed pojawieniem się stalowych ptaków. Nie zdażyli nawet odprawić zwyczajowych godów, gdyż Ren zginął wraz z kilkunastoma innymi osłaniając idącą do Gahiramez grupę ze swojej ziemi.

- Kinth - powiedziałem, gdy Leara odeszła. - Chcę cię o coś prosić. Wiem, że Vaden Ker kazał ci pilnować mnie i być gotowym do udzielenia mi pomocy gdybym jej potrzebował. Ale przez ostatnie trzy dni nie zawiodłem ani razu. Myślę, że pokazałem, że jestem już godny pasa. Potrafię walczyć sam i nie trzeba mnie pilnować.

Było głupstwem z mojej strony, że powiedziałem te słowa i sam miałem ich potem gorzko żałować. Przodkowie ukarali mnie za tę pychę.

- Jesteś głupcem, Kiff, albo głupca udajesz - odparł surowo Kinth. - Powinieneś czekać na pas jeszcze rok i dostałeś go tylko dlatego, że brakuje rycerzy do obrony murów. Nie jesteś jeszcze w pełni rycerzem i nie uważaj się za takiego. A kiedy będzie można przestać cię pilnować sam uznam.

Odwrocił się i poszedł do Va Moha. Rozmawiali o czymś z ożywieniem. Siedziałem jeszcze, nadal osłabiony i omdlały, gdy rozległ się głos trąbki. Z trudem stanąłem na swoim stanowisku. Tym razem atakowali tylko spod lasu i z bagnisk. Było ich mniej, szli słócczeni, jakby chcieli tą gęstwą dodać sobie odwagi. Można by ich zniszczyć kilkoma salwami. Ale nasze działa milczały, pozbawione amunicji.

Pierwsze szeregi, osłaniając się z góry wielkimi, drewnianymi tarczami przeszły zasypaną fosę i dostawiły drabiny. Znów zaczęli się niestrudzenie piąć do góry, jeden po drugim. Zapominając o zmęczeniu rozciąłem na pół draba, który wszedł pierwszy i odepchnąłem drabinę. Wciąż zadając ciosy, biegłem po swoim odcinku muru pomiędzy wciąż na nowo przystawianymi drabinami. Furia nacierających w porównaniu do poprzedniego szturm wyrażnie zmalała, nie rwali się już na górę tak chętnie. Kim by nie byli ich przywódcy, musieli twardo trzymać tych tępych pachoiaków za pysk, skoro mimo takich strat wciąż wracali do szturm.

Odepchnąwszy którąś z kolei drabinę nie mogłem oprzeć się pokonać wręcz na północną basztę, gdzie wyrwa w murze wyraźnie ścigała szturmujących. Dwóch chłopów wdarło się właśnie na blanki. Wychyliłem się lekko, by lepiej widzieć i w momencie, w którym obaj spadali przebici mieczami poczułem lekkie ukłucie w lewym ramieniu. Nie spojrzałem nawet, gdyż obok właśnie znowu przystawiono drabinę. Zepchnąłem ją, potem następną. Nagle poczułem, że słabnę, nogi uginają się pode mną, a ramię drętwieje. Na mur wpadło kilku buntowników. Rzuciłem się na nich, przeszyłem jednego mieczem, drugiemu rozpiąłem głowę. Z trzecim, który zręcznie zasłaniał się pałką straciłem więcej czasu. Zanim zepchnąłem drabinę w innym miejscu na mur wdarli się następni.

- Kinth! Kinth! - krzyknąłem, usiłując przemóc ogarniającą mnie słabość, lecz on już wcześniej zobaczył co się dzieje i rzucił się ku mnie, tratując i obalając chłopów. Z trudem odepchnąłem jeszcze jedną drabinę. Miecz wypadł mi z ręki. Oparłem się o blankę, usiłując wyrwać z ramienia zakończoną czarnymi piórami strzałę. W oczach ciemniało mi coraz bardziej.

- Na Mergohra, na Garhera - szepnął Kinth wyrывая ją - Czarna strzała! Zatruta strzała z Meldoru!

W oczach pociemniało mi do reszty i tracąc czucie miękko osunąłem się po murze..."

★

- O, przepraszam - powiedział Montera, zauważywszy siedzącego przy biurku Victora. - Jeszcze pracujesz? Myślałem, że już dawno poszedłeś do domu.

Victor wyprostował się, zdjął okulary i przecierając oczy zerknął na zegarek. Potem zaznaczył kawałkiem papieru miejsce, w którym przerwał i odsunąwszy krzesło podniósł się, wyłączając białą, płaską lampę oświetlającą biurko.

- Fascynujące - powiedział, wciąż przecierając powieki. - Aż trudno się oderwać od lektury.

- Pamiętnik Va Kiffa? - spytał Montera, patrząc na pożółkłą księgę pokrytą różnymi rzędami odręcznego pisma.



Victor skinął głową, nakładając okulary. Podrapał się po łysinie i podszedł do ustawionej na parapecie niewielkiej kuchenki.

- Tłumaczę od razu przy czytaniu. To nie jest najlepsza metoda, ale im chodzi tylko o treść, i o to, abym zrobił to możliwie najszybciej. Potem poprawię przygotowując to do wydania. Obawiam się, że w niektórych miejscach zatracam niuanse znaczeń poszczególnych słów, nie mówiąc już o rytmie tej prozy. Herbata?

Montera podniósł z biurka arkusz papieru, czytając ostatnie słowa przekładu Victora. Westchnął ciężko.

- Nie powinienś tego robić, Victor.

- To świetny tekst - odparł Victor poprawiając krawat. - Bardzo się cieszę, że wpadł w moje ręce. Nie ma takiej wartości

zabytkowej, jak kodeks Garhera, ale dla badacza kultury Va jest wspaniałym źródłem na temat jej ostatniego stadium.

- Miałem na myśli, że nie powinienś tłumaczyć dla policji. Ludzie zaczynają mówić różne rzeczy, a wiesz, że nie jesteś zbyt lubiany przez pracowników wydziału.

Wzruszył ramionami.

- Powodzenie zawsze budzi zazdrość, zwłaszcza u mniej pracowitych. Zresztą nie rozumiem tej dziwnej awersji, jaką wy młodzi, żywiecie do policji. Jest w społeczeństwie tak niezbędna, jak leukocyty w organizmie.

- Mniejsza o naszą policję. Chyba nie dziwisz się, że Mogadeńczyków nikt nie darzy sympatią? Po tym co zrobili z własną kulturą...

- Do niektórych dzieł można dotrzeć tylko za ich pośrednictwem. Nie jestem politykiem, nie lubię polityki i wcale mnie ona nie interesuje. Cieszę się, że mam dostęp do tego tekstu. A ci tutaj - wykonał nieokreślony ruch ręką - niech sobie mówią, co chcą.

- Sądzą, że robisz to, żeby dostać profesurę.

- Bzdura! Od tygodnia wiem, że dostanę ją tak czy owak. I uważam że uczciwie na nią zapracowałem.

Victor oparł się o zagłówek fotela, kierując wzrok w świecący przyjemnym dla oczu, zielonkawym światłem sufit.

- Chyba już pójde do domu. Oczy mnie rozboleły. Posiedzę nad tłumaczeniem jeszcze godzinę wieczorem.

Montera zaczął znowu przeglądać tłumaczenie.

- O czym on pisze?

- Przede wszystkim o obronie Gahiramez. Mieszkał w pobliżu tej twierdzy i zaraz po wybuchu buntów znalazł się tam wraz z rodziną. Dość charakterystyczny jest jego sposób myślenia. Odmawia chłopom nie tylko cienia racji, ale nawet miarę na ludzi, opisuje ich jak stado rozjuszonego bydła. Poza tym uważa bunt nie za dzieło od początku do końca chłopów, lecz za dzieło kogoś wielokrotnie mądrzejszego, kto użył chłopów do swoich celów. Ma na myśli oczywiście nas.

- Kto to wie, jak to tam było naprawdę. Mogadeńczycy nie powiedzą prawdy, a u nas się na ten temat nie mówi. Chodźmy, robi się późno.

„- Oni są naprawdę zabawni - myślał Victor, jadąc do domu podziemną kolejką.

- Więc tłumaczenie starych, pięknych dzieł to wysługiwanie się policji? - Ech, ci młodzi...” - Popatrzył na teczkę, w której włożył rękopis Va Kiffa, postanawiając, że zaraz po obiedzie weźmie się za jego dalsze tłumaczenie.

★

„... Otoczyła mnie mglista, błękitna poświata, czułem się lekki, wolny od trosk, spokojny. Myślałem, że to już śmierć, że idę do raju, do przodków. Ale zamiast bram Krainy Zielonych Słońc zobaczyłem Gahiramez. Dostrzegłem je pod sobą, jak-

bym leciał nad nim z kluczem ptaków. Twierdza była zburzona, w murach poczyniono potężne wyłomy, brama wybita z zawiasów leżała bezużytecznie na dziedzińcu. Z wypalonych okien biły w niebo blade strużki dymu.

Płynąłem nad zniszczoną twierdzą. Zniżyłem lot i dostrzegłem obdartych, wychudzonych rycerzy skrępowanych i stłoczonych na dziedzińcu. Wkoło stali chłopci z kijami i okrwawionymi mieczami. Wlekli ich po kolei na kamienne schody u wejścia świątyni i ścinali. Wszystkich; Va Kentha, Va Mora, Vaden Kera i kapłana Ge Morata. Po całym dziedzińcu porozrzucone były trupy rycerzy, kobiet i dzieci. Potem obraz pociemniał, rozpląnął się i zniknął mi z oczu. Znowu znalazłem się w błękitnej mgle.

Nagle poczułem, że leżę na brzuchu na pachnących kurzem i starością deskach. Powoli podniosłem głowę. Znajdowałem się w niewielkiej komnacie o małych oknach. Pod ścianą, za wielkim stołem siedział siwy, brodaty starzec i pisał w grubej księdze. Dziesiątki innych ksiąg leżały pod ścianami. Byłem w Wieży Wieczności, gdzie Najstarszy spisywał wszystko, co wydarzyło się na świecie od jego narodzin, do chwili połączenia się nieba z ziemią.

Leżałem długo, nie śmiąc poruszyć się ani wydobyć z siebie głosu, aż wreszcie po długim milczeniu Starzec nie podnosząc wzroku i nie przestając ani na chwilę wodzić piórem po papierze powiedział:

- Va Kiff... Nieletni rycerz z Gahiramez znalazł się tu, gdzie nie gościł żaden śmiertelnik od czasu Mergohra I. Nie pytaj, czemu właśnie ciebie tu wezwałem. Wzniesiesz się ponad wszystkich z twego pokolenia i będziesz przeklęty. Taki jest twój los. Świat obrócił się, dawne czasy mijają, wielki jest ten, kto myśli o czasach nowych. Wstań, rycerzu!

Uniosłem się niepewnie. Za oknami komnaty kłębiły się obłoki.

- Widzisz? - Najstarszy podniósł do góry dłoń. Trzymał w niej świecący silnym blaskiem Antineer, kamień zwycięstwa, który był początkiem potęgi Morihameru i jej ostoją. Zmrużyłem oczy. Starzec wyprostował palce, kamień powoli opadł i rozsypał się w proch. - Mergohrowi przed wiekami powiedziałem, że zbuduje pań-

stwo potężne, które przetrwa tysiące lat. A teraz mówię tobie, że Morihamer zginie. Nikt nie zmieni biegu losów, nawet ja tego **nie potrafię. Masz dwie drogi przed sobą.** Zgiń razem ze wszystkim, albo nie daj wszystkiemu zginąć. Otwórz bramy Gahiramez przed potęgą Niskich Ludzi.

- Mam zdradzić?!

- Morihamer będzie żył tak długo, jak długo będą żyć jego rycerze. Wielki jest ten, kto myśli o czasach nowych. Odejdź rycerzu.

Znów ogarnęła mnie błękitna mgła, w której błyskały z dala pochodnie, twarze i miecze. Zapadłem w odrętwienie..."

★

Victor minął wielkie przeszklone drzwi potężnego wieżowca w centrum miasta. Znalazł się w dużym, wyłożonym marmurami hallu. Przeszedł go dystyngowanym krokiem, nie zwracając uwagi na tłoczących się ludzi i podszedł do strażnika.

- Jestem umówiony z pułkownikiem Mastersem - podał swój żeton identyfikacyjny. Strażnik nacisnął kilka klawiszy, popatrzył mętym wzrokiem na ekran przed sobą, potem wcisnął żeton Victora w szczelinę czytnika.

- Zgadza się - powiedział oddając żeton

- Pokój 4478, 62 piętro.

Victor skierował się do windy.

- A, profesor Stayners - Masters uprzedzony zapowiedzią sekretarki wstał z biurki i przywitał Victora przy drzwiach gabinetu. - Witam, profesorze, i gratuluje. Proszę - wskazał na fotel.

- Cóż, nie otrzymałem jeszcze nominacji...

- Ale jest już gotowa. Jej wręczenie to tylko formalność. Kawa, herbata, koniak?

- Jeśli można, koniak - powiedział Victor kładąc na kolanach swą teczkę i otwierając ją.

- A więc, panie pułkowniku, przychodzę z dwiema sprawami - zaczął, skosztowawszy przyniesionego przez sekretarkę koniaku. - Tak jak przypuszczałem, nie zdążyłem jeszcze przetłumaczyć całego tekstu, który otrzymałem od pana przed dwoma tygodniami. Mam tutaj drugą część tłumaczenia, około stu dwudziestu stron. Nie jest to dobry przekład pod względem

artystycznym, ale sądzę, że dla potrzeb Policji Mogadeńskiej będzie wystarczający.

- Oczywiście. Swoją drogą, profesorze, czy to nie paradoks żebyśmy my musieli tłumaczyć Mogadeńczykom teksty napisane w ich dawnym języku?

- Sami ten język zniszczyli.

- Cóż, trudno im się dziwić. Na ich miejscu postąpiłbym tak samo. To są twarde prawa walki o sprawiedliwość. Mówiąc między nami, jest tam wielu ludzi znających biegle starorycerski, ale nikt się do tego nie przyzna. Stary zakaz wciąż obowiązuje, za posługiwanie się starorycerskim grozi na Mogadenie śmierć. No, dobrze, a druga sprawa?

- Widzi pan, pułkowniku, ten pamiętnik ma dla badacza ogromną wartość, chciałbym go opracować i wydać.

- To będzie trudne... Pamiętnik był zarekwirowany u osoby podejrzanej o działalność opozycyjną; jako materiał dowodowy otoczony jest ścisłą tajemnicą.

- Sądzę, że ten tekst nie nadaje się na materiał dowodowy.

- Nie zna pan praw Mogadenu, profesorze. Za przechowywanie materiałów fałszujących historię grozi tam śmierć.

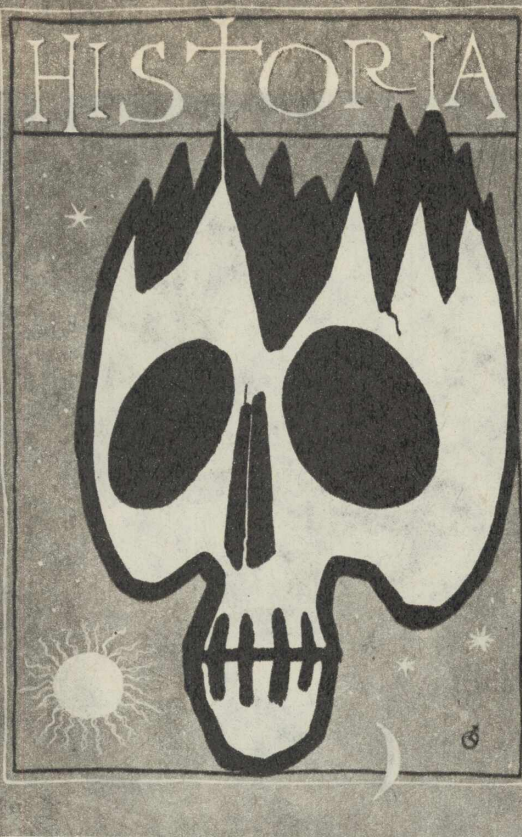
- Więc...

- Ale proszę się nie martwić, profesorze. Dobrze, że zwrócił się pan z tym właśnie do mnie. Obiecuję, że porozmawiam o tym osobiście z komisarzem Ranhernezem. To, że jest pan lojalny wobec nas i władz Mogadenu na pewno ułatwi uzyskanie odpowiedniego zezwolenia. Proszę tylko pamiętać, aby na razie nie udostępniać pamiętnika absolutnie nikomu. Nasze władze miałyby to panu za złe.

- Panie pułkowniku...

- Oczywiście, panie profesorze. Proszę mi wybaczyć. Sądzę, że Ranhernez zgodzi się, ale zażąda usunięcia niektórych partii tekstu, obraźliwych wobec uczestników buntów chłopskich. To może pana, jako naukowca, zboleć, ale sytuacji międzynarodowej nie wolno ignorować. Zresztą chyba lepiej wydać tekst niekompletny, niż nie opublikować nic. Skontaktuję się z panem telefonicznie... powiedzmy za dwa dni, około godziny dwunastej...

(Ciąg dalszy nastąpi)



(dokończenie z nr 2/86)

Napisał: Rafał M. Ziemkiewicz
Ilustrował: Przemysław Woźniak

„...nie wstawaj! Jesteś słaby, nie wolno ci! – krzychała jeszcze za mną, ale byłem już na schodach. Przemogłem osłabienie i dopinając po drodze pas z mieczem powlokłem się do błękitnej sali. Nikt nie zagroził mi drogi. Pchnąłem drzwi i wszedłem do środka.

Wokół wielkiego, starego stołu siedzieli najgodniejsi rycerze i kapłani w twierdzy. Tylko Vaden Ker przechadzał się po komnacie, szarpiąc w zamyśleniu brodę. Zamilkli nagle, Ker obrócił się i spojrzał na mnie gniewnie. Zamknąłem drzwi i oparłem się o nie.

– Dlaczego tu przyszedłeś? – spytał wreszcie Va Kinth.

– To chyba jeden z tych młodzików, pasowanych przed kilka dniami? – spytał Vaden Ker, gdy milczałem, walcząc z wirującymi mi przed oczami czarnymi plamami.

– Jestem Va Kiff, syn Va Ketta, panie. Wiem, że nie mam prawa uczestniczyć w

radzie wojennej... ale wiem coś, co muszę powiedzieć.

– Usiądź – Ktoś podsunął mi krzesło.

– Gdy leżałem ranny, przodkowie obdarzyli mnie widzeniem. Byłem w Wieży Wieczności.

– Z wszystkich śmiertelników jedynie Mergohr I dostał tego zaszczytu – rzucił Ge Morat.

– Widziałem naszą twierdzę spaloną... nas w okowach, sterty trupów. Potem zaś rozmawiałem z Najstarszym – opowiedziałem im wszystko, co słyszałem, a potem powiedziałem, do czego doszedłem rozmyślając nad słowami Najstarszego.

– Poddać się!? – Twarz Vaden Kera spurpurowiała, a on sam machinalnie sięgnawszy do miecza przeszył mnie wzrokiem pełnym wściekłości. – Złożyć broń przed tłumem zbuntowanych pachołków i kilkoma przybyszami z niewiadomych stron?! Zdać się na ich łaskę?! Powiniśmy cię zabić!

– Zostawcie – zasłonił mnie Va Kinth. – Trafiła go czarna strzała z Meldoru. Jad, którym leśni zbójcy nasączają groty swych strzał maści umysł. Odejdź Va Kiff, to majaki.

– Mój umysł jest jasny – zaprzeczyłem stanowczo. – I wiem co mówię. Rozmawiałem z Najstarszym.

– Czemu akurat ty? Czyżby nie było w twierdzy godniejszych rycerzy?

– Nie wiem. Nie wiem, dlaczego ja – znów zrobiło mi się słabo. – Ale byłem tam. Cały ten bunt to sprawa Niskich Ludzi, potrafili nawet podburzyć naszych poddanych przeciw nam. Są potężni, muszą z nami wygrać. A jeśli zginiemy my, kto zostanie? Chłopi, ciemni i okrutni, z którymi przybysze zrobią, co będą chcieli? Co się stanie z Morihamerem?

Żaden nie odpowiedział. Mówiłem więc dalej.

– Tej wojny nie możemy wygrać. Ale na litość przodków, musimy ją przeżyć! Niech chłopci, skoro po zwycięstwie mają przejąć los Morihameru w swojej ręce, uczą się od nas, nie od Niskich Ludzi. Musimy przeżyć.

– Wiem, o czym mówisz, Kiff – rzekł wreszcie Vaden Ker – wszystko wskazuje na to, że jesteśmy ostatnią broniącą się twierdzą w kraju. Utrzymamy się jeszcze

dwa – trzy miesiące. Wszystkich nas czeka śmierć. Ale jeśli się boisz śmierci, popełniłem największy błąd w swym życiu dając ci pas. Niech mi przodkowie wybaczą.

– Nie boję się śmierci, boję się o los Morihameru! Wziąłem wraz z pasem obowiązek troski o Morihamer!

– Gdy przyjdzie przegrać, musimy zginąć walcząc do końca – powiedział Ge Morat. – To herg'ahr!

Co mogłem odpowiedzieć? Że prawa trzeba rozumieć inaczej, że herg'ahr to nie bezsensowna śmierć?

– Jesteś chory i ranny, trucizna zmieszła ci umysł. Daruję ci słowa, które powiedziałeś, daruję ci też wtargnięcie tu – powiedział wreszcie Vaden Ker – Ale odkryłeś się hańbą. Może zmyjesz ją w walce. A teraz wyjdź stąd i wracaj do sali chorych.

Odprowadzony zimnymi spojrzeniami wyszedłem z komnaty i powoli, opierając się o ścianę powlokłem się do niskich komnat. Gdy wyczerpany, padłem na pościel, zapadłem ponownie w odrętwienie. Widziałem Niskich Ludzi, pozdrawiających mnie znakiem rycerzy. Jeden z nich wysunął się przed pozostałych. Po chwili widziałem tylko tę jedną, białą, rozmazaną sylwetkę. Słyszałem wyraźnie jego słowa.

– Va Kiff! Twoja cywilizacja umiera, a my nie chcemy jej śmierci. Jesteśmy takimi samymi ludźmi jak wy, chociaż dzieli nas parę tysięcy lat świetlnych. Z trudem nawiązaliśmy z tobą kontakt, więc słuchaj mnie uważnie; gdy dzwon ogłosi środek nocy otworzysz furtę przy południowej baszcie. Do twierdzy wejdziemy tylko my, chłopcy pozostaną na zewnątrz. Złożycie broń i zgodzicie się na uznanie chłopów za równych sobie. W zamian za to nikomu nie się nie stanie. My, ludzie z Ziemi, nie znośmy niekonicznej krwi. Jeśli nie będziecie się mogli pogodzić z nowym porządkiem Morihameru, możemy zabrać was za niebo i osiedlić gdzie indziej. Ale obrona twierdzy nie może trwać dłużej, to godzi w nasze interesy. Jeśli dziś nie otworzysz bramy, jutro wszyscy zginiecie. Wybieraj.

Ocknąłem się i zerwałem z łoża wstrząsany dreszczami. Ukryłem twarz w dłoniach. Płakałem po raz pierwszy i ostatni w życiu. Od tego momentu nie mogłem już

postąpić dobrze. Siedziałem gryząc z wściekłości pięści. Siedziałem długo, aż w końcu wstałem i cicho poszedłem ku murom, ku południowej baszcie...”

★

– Proszę – powiedział Victor. Drzwi otworzyły się i do sali wszedł jeden z jego studentów, Restinef. Jeden z wielu Mogańczyków przebywających na Ziemi na studiach. Na kulturoznawstwie było ich tylko kilku.

– Słucham?

– Mam do pana sprawę o charakterze... prawie prywatnym. Spełnienie mojej prośby nie będzie dla pana kłopotliwe, a dla nas... dla mnie... to bardzo ważne – mówił Restinef siadając. – Otóż, panie doktorze...

– Nie wiem, czy pan wie, ale otrzymałem nominację na profesora zwyczajnego.

– Nie wiedziałem. Przepraszam.

– No, nie szkodzi, to jeszcze na razie wiadomość nieoficjalna, więc ma pan prawo nie wiedzieć. Więc o co chciał mnie pan prosić?

Restinef wskazał palcem leżący na biurku rękopis Va Kiffa.

– O ten pamiętnik. Oczywiście nie o oryginał, zadowolę się kopią.

Victor podniósł się i zaczął sobie robić herbatę.

– Nie wiem, skąd pan wie o tym tekście – powiedział do kuchenki – Jest on u mnie w depozycie i nie mam prawa udostępnić go komukolwiek. Przykro mi bardzo.

– Panie profesorze, porozmawiajmy otwarcie. Naprawdę nazywam się Va Rest i jestem prawnikiem jednej z postaci występujących w tym pamiętniku, dowódcy Gahiramez, Vaden Kera. Morihamer istnieje nadal, choć niewielu ludzi o tym wie. Ukryliśmy się w pewnym miejscu i prędzej czy później wrócimy na swoją planetę.

– Szczerze mówiąc, wątpię w to.

– Pan myśli, że ten terror, jaki tam panuje utrzyma się długo? Teraz nawet chłopcy synowie wykształceni na Ziemi zaczynają przechodzić na naszą stronę.

– A gdzie jest wasza siedziba?

– Tego, niestety, nie mogę powiedzieć. Są resorty, które dużo by dały za tę informację. W każdym razie, widzi pan, profes-

sorze, dla pana ten pamiętnik to obiekt badań. Dla nas to znacznie więcej, to księga naszych dziejów. Czy skończył pan już jej lekturę?

- Jestem właśnie przy upadku Gahiramez.

Va Rest uśmiechnął się.

- Więc zaczyna pan lekturę chyba najciekawszej części. Znamy tę księgę tylko z opowiadań tych, którzy ją czytali i jestem bardzo ciekaw, jak Va Kiff to opisał. Do dziś nikt z nas nie wie, którzy z naszych dziadków mieli rację. Ci, co uciekli pozostawiając Morihamer swemu losowi, czy ci, co jak Va Kiff zostali tam, pomogli zbudować Mogaden, a potem zostali zlikwidowani.

- Cóż, wielkie przełomy historyczne nie obywają się bez krwi. Wasza planeta z feudalizmu przeszła od razu do epoki kosmicznej. To musiało spowodować pewne zaburzenia.

- Tak, niestety, nasza planeta zrobiła wielki skok w rozwoju i nic się na to nie da poradzić. A teraz gnije i śmierdzi, i minie wiele lat, zanim uda się na niej znowu zaprowadzić porządek.

- Zdumiewające wsteczństwo - stwierdził Victor, krzywiąc usta.

- Ja chcę od pana tylko tyle, żeby na dziesięć sekund wsadził pan rękopis w kopiarkę, albo pozwolił mi to zrobić. Nie musi pan nawet o tym wiedzieć.

- To nie jest takie proste...

- Dostał go pan od Policji Mogadeńskiej i musi jej zwrócić. Gdy pan to zrobi, pamiętnik przepadnie. Nikt go już więcej nie zobaczy.

- Nie wiem, nie wiem - pokręcił głową Victor. - Przygotowuję właśnie tekst do wydania i jest bardzo prawdopodobne, że otrzymam od władz Mogadenu zezwolenie.

- Jeśli nawet, to tylko na publikację fragmentów.

- Proszę pana, niech pan przyjdzie do mnie za trzy dni. Wtedy będę mógł panu coś powiedzieć.

- Zrobi pan kopię?

- Na radzie nie. Niech pan przyjdzie za trzy dni.

★ ★ ★

„...mojego życia. Od upadku Gahiramez minie jutro dwadzieścia lat. Jak trudno

jest rozliczyć się z tymi wydarzeniami. Starałem się zrobić wszystko, co było w mojej mocy. Zakładałem uniwersytety, gdzie uczono potem nienawiści do nas i do wszystkiego, co osiągnęliśmy. Budowałem miasta, w których rozsiedli się ci, co w czasie buntów potrafiли najwięcej nagrabić. Teraz dorosło nowe pokolenie chłopskich synów, wykształcone na Ziemi i znające tylko tamtejszy język. My przestaliśmy być potrzebni.

Nie wiem już teraz, czy dobrze zrobiłem, czy nie trzeba było zginąć ze wszystkimi. Nadal uważają mnie za zdrajcę, grożą śmiercią. To najboleśniejsze ze wszystkiego, na co skazało mnie życie. Tylko niektórzy, ci, co uważają, że działałem otumaniony ziemską trucizną, przychodzą czasem do mnie. Czytają mój pamiętnik, współczują mi.

Czuję, że mam już niewiele czasu. Wkrótce przyjdą po mnie i zniknę bez wieści, jak tyłu innych. Niech wreszcie przyjdą. Czas najwyższy. Oddaję wam historię swojego życia, historię zdradzonego zdrajcy i oszukanego narodu. Ale nie sądzicie nas surowo. Każdy z nas spełnił swój herg'ahr tak, jak go rozumiał, i tak, jak potrafił.

skończyłem 13/2 Henoha
2 Rade Kiffard
Voganei”

★ ★ ★

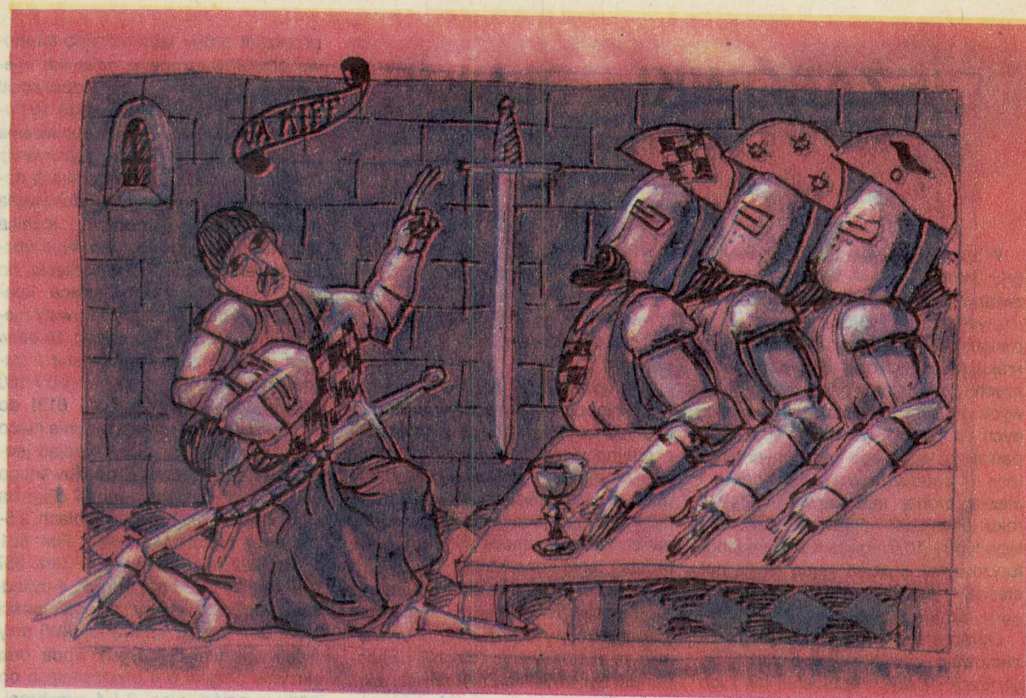
- Ach, to pan - przywitał Va Resta nie podnosząc się z fotela. - Proszę, niech pan wejdzie i siada. Chcę panu zadać dwa pytania.

- Przede wszystkim...

- Najpierw zapytam, dobrze? Widzi pan, skończyłem przekład i kilkakrotnie natrafiłem w nim na słowo, którego nie znam, mimo że uważam się za znawcę starożytności. To słowo brzmi „herg'ahr”. Czy pan je może zna?

- Tak. Każdy z nas je zna. - Va Rest potarł dłońią czoło. - Wie pan, że Morihamer opierał się na powinnościach. Powinnością chłopą było zbierać plony i służyć panu, powinnością kapłana...

- Nie musi mi pan wyjaśniać, na jakich zasadach opierał się system społeczny Morihameru.



- Herg'ahr to nazwa najwyższej powinności, powinności dotyczącej tylko rycerzy. Obawiam się, że Ziemianin nie jest w stanie zrozumieć wszystkiego, co się w tym pojęciu kryje. Herg'ahr to obowiązek poświęcenia wszystkiego, to święta sprawa, która rządzi życiem rycerza. Tego słowa prawie nigdy się nie wymawia, ale rządzi ono wszystkim, co Va czyni.

- A drugie pytanie? - spytał Va Rest po chwili milczenia.

- Co pan zrobi, jeśli odmówię panu tekstu? - zapytał Victor oglądając uważnie brzeg filiżanki.

- Liczyłem się z tym. Zabiorę tekst siłą i ucieknę.

- Mówi pan poważnie?

- Jak najbardziej. My musimy mieć ten pamiętnik.

- Tak właśnie myślałem. Czuję się usprawiedliwiony. Proszę, wejdźcie panowie!

W drzwiach stanęło kilku policjantów. Va Rest stracił na zastanowienie tylko ułamek sekundy. Zerwał się, chwytając ze stołu księgę i rzucił do okna. W tej samej chwili huknął strzał i Rest upadł, rozpaczliwie chwytając się parapetu. Powoli osunął się na ziemię.

- Zabierzcie go - powiedział pułkownik Masters, podchodząc do Victora, który przyglądał się wszystkiemu z wyraźnym niesmakiem. - Niech się pan nie obawia, profesorze, to tylko paralizator. Za godzinę będzie zdrow, jak ryba. Przykro mi bardzo, że akurat w pańskim gabinecie...

Dwóch policjantów podniosło Va Resta. Victor nie mógł się oprzeć pokusie, żeby spojrzeć mu w twarz. Rycerz z trudem poruszył wargami, ale nie był w stanie nic powiedzieć. Wszystko zawarto się w jego spojrzeniu. Victor poczuł, że serce zaczyna mu bić szybciej i mocniej.

- Tak przy okazji, profesorze, radziłbym panu przejrzeć listę awansów, którą ministerstwo ogłosi za parę dni.

Victor nawet go nie słuchał. Skinął machinalnie głową, myśląc o fanatycznych rycerzach Moriameru, którzy zapewne zechcą pomścić Va Resta. Jak mógł o tym nie pomyśleć wcześniej?! Dlaczego nie wygonił tego Resta do diabła, po co mówił o nim Mastersowi? Sięgnął do kieszeni po pastylki uspokajające.

- „O Boże” - myślał - „Zdaje się, że dopiero teraz wpakowałem się w kłopoty”.